

Drogi Panie Michale i Moniko.

Łączę się z państwem w wielkim
żalu i smutku. Nie mogłam uspokoić
swoje serce przez kilkanaście dni, nic
do piero teraz piszę. Może ten list
dojdzie do Was i przechowanie go
Cabaret „Tsarevitch”

między innymi kondolencjami.

Pomna na wszystkie rady tłumaczki, pani dr Walisch, chciałam w czasie
mego pobytu w Paryżu zwiedzić i zobaczyć jak najwięcej. Chodziłam
po Paryżu od rana do wieczora. Wiedziałam od niej, że istnieje w XVII
dzielnicy Dom Polski przy ulicy Lamandé, dom prawdopodobnie ofiaro-
wany Polsce przez Napoleona za zasługi wojskowe Polaków. Przy zbiegu
ulic des Batignolles i Legandre jest mały plac. A równoległa do rue
Batignolles, mała, cicha uliczka, to właśnie Lamandé. Odnalazłam ją bez
trudu, a potem Dom Polski, na którym była wywieszka Lycée Polonais.
Śmiało weszłam przez otwartą furtkę-bramę, za którą słychać było roz-
mowy prowadzone po polsku. Pani Różia, pracownica hotelu, zaprosiła
mnie do środka i oprowadziła mówiąc.

— „Tutaj uczą się dzieci polskie, których rodzice pracują w Konsulacie
Polskim i Ambasadzie. Ale też zatrzymują się tutaj stypendyści oraz ci,
co chcą zwiedzić Paryż, na kilka dni. Mieszkała tutaj też piosenkarka,
pani Helena Majdaniec. Teraz mieszka tutaj Irena Jarocka. Pani ją zna?
Bardzo ją lubimy”.

Oczywiście, znałam piosenki Jarockiej. Czy mogłam trafić lepiej jak
pod ten dach? Koleżanka po fachu, tyle że dużo młodsza i już znana.

Była godzina chyba 11 rano, gdy zapukałam do jej drzwi. Stała
w nich cicha, zasniona, mówiąca prawie szeptem, Irena Jarocka. Nigdy
w życiu nie wybaczyłam sama sobie tego zbudzenia jej prawie w „środku
nocy”. Nie wiedziałam jeszcze, że we Francji, w kabaretach, śpiewa się
późnym wieczorem, nocą i właśnie rano, do późnych godzin popołudnio-
wych, artyści wypoczywają, śpią. Przepraszałam ją jak umiałam, umówi-
łyśmy się w ogólnej sali kuchennej budynku — po południu. Przyszła
punktualnie. Była to młoda dziewczyna, o ładnej, zdrowej urodzie. Wy-
starczyło ją podkreślić nieco makijażem, by stała się piękna. Nie była
wysoka, lecz noszone modne wówczas bardzo wysokie obcasy podkreślały

W roku 1970 Irenka śpiewała w
Opisałam w książce p.t. „Jedno do

Nieji. Nieji była naprzemiennie, jakże było naprzemiennie, 30 lat temu, jakie było naprzemiennie.

mięta wówczas 23 ukończyła lata i jej. Była sama a dobrocią.
miała dobre czyste serce i bardzo czyste serce i bardzo czyste serce.
W Paryżu wieki i paryżanów i ciekawość i ciekawość i ciekawość.

Była siłą u czasie smu z lekciem,
z karmarami senyem. Była wyjątkowo
pracowita, wytrwała, przyjazna i „dobrym”
jej szczupłą figurę. Ale nie tylko to fascynowało w jej osobowości. Była
inteligentna, przyjazna dla wszystkich, dobra, lubiana. Co może chcieć
więcej dziewczyna od życia, jeżeli jeszcze ma talent?

Rozmowa nasza toczyła się oczywiście na temat pracy, śpiewania
w kabarecie. Obiecała mi, że zapyta swą patronkę — właścicielkę
kabaretu — czy nie potrzebuje piosenkarki. Oczekiwałam z niecierpli-
wością na następny dzień.

— „Masz przyjść dzisiaj do kabaretu na tzw. audition (przesłuchanie)
z nutami. Masz?” — Oczywiście że miałam.

— „A suknię, ubiór na estradę? Nie możesz mieć na sobie tego, co
mają tutaj wszystkie Francuzki. Musisz mieć coś oryginalnego. Coś
innego.”

— „Nie mam. Tylko suknię świecącą z koralikami” — odrzekłam.
— „I jeszcze czarną, długą spódnicę. To wszystko co mam.”

— „To nieciekawa suknia” — rzekła Irena. — „Mam bluzkę góralską,
pięknie haftowaną na białym batyscie, z długim rękawem. Haft piękny
i rzadki. Pożyczę Ci ją. Czarna spódnica w sam raz. Musisz być bardzo
słowiańska, nawet rosyjska. To kabaret, gdzie nie ma rozebranych, gołych
kobiet. Nawet tancerki — Cyganki mają dobrze przykryte piersi i długie
spódnice” — doradzała mi Irenka.

— „Dobrze by było, byś splotła włosy w jakiś warkocz, a nawet
ubrała głowę w drobne kwiatki, na przykład stokrotki lub margaretki.”

Tak doradzić swej koleżance po fachu, jakby nie było konkurentce
na estradzie, mógł tylko człowiek o wielkiej dobroci serca i uczciwości.
Taka była Irena, o czym przekonałam się jeszcze wiele razy.

Trzeba było być w kabarecie już o 21. Z hotelu przy ulicy Lamandé
poszliśmy do metra Rome. A nim pojechaliśmy do Łuku Triumfalnego.
Od niego na nogach jedną Avenue i uliczką Colonel Renard. Na końcu
tej cichej, małej ulicy, w dużym chyba 7-piętrowym gmachu, niezauwa-
żalne, małe zadaszenie nad drzwiami wejściowymi w kolorze bordowym
i mały dyskretny napis: CABARET „TSAREVITCH”. W witrynach po
bokach zdjęcia orkiestry, tancerzy, śpiewaków oraz napisy: „Rosyjska
i cygańska orkiestra, spektakl, znakomita kuchnia rosyjska”. Przywykłam
w Polsce do nazwy „radziecka”. A tu nic z niej nie ma. Nic też z ubóstwa
radzieckiego. Carewicz to przecież dziecko cara.

Weszliśmy do wnętrza korytarza ozdobionego portretami cara Mikołaja
i jego dzieci. W korytarzu zostałam przywitana po rosyjsku przez Miszę,
kelnera ubranego w smoking i białe rękawiczki. W przytłumionych świat-

150
„duskiem” polskim na ulicy
Lamandé w Paryżu. Wszyscy tam
Trenkę szanowali, podziwiali i kochali.

Była dla mnie jasnością i powrotach
po pracy nocą do hotelu (dla spokoju duszy).
Porozmawiałam rodziców i innych w Polsce

lach zobaczyłam dużą salę z małym parkietem dla artystów. Wkoło pod
ścianami ustawione były małe okrągłe stoliki nakryte czerwonymi obrusami
w wytłaczane wzory, leżącymi się aż do ziemi. Na nich śnieżnobiałe
serwety. Z tyłu krzesła też wyściełane czerwonym aksamitem. Na każdym
stoliku paliły się świece. Pod stolikami i krzesłami podłoga wyłożona
czerwonymi dywanami. Całe wnętrze było wytłumione ciemnozieloną
tapetą z materiału, przedstawiającą dyskretnie godło carskie w kolorze
czarnym. Orkiestra, która grała stare rosyjskie, cygańskie melodie, romanse,
była umieszczona na małym podwyższeniu z tyłu parkietu. Goście siedzieli
już przy stolikach i popijali szampana. Sama dekoracja robiła duże wra-
żenie. A teraz jeszcze przy melodiach wygrywanych na fortepianie, cym-
bałach, białajce, harmonii i skrzypcach nastrój potęgował się. Nie wi-
działam w swym życiu, nawet w późniejszych latach oglądając kabaret
Lido czy Moulin Rouge tak bogatej, intymnej dekoracji carskiej. Przy-
pomiñało to wszystko razem atmosferę starej, cieplej, małej cerkwi, gdyby
dodać trochę złota, a muzycy polscy i rosyjscy w odświętnych frakach
oraz artyści pięknie ubrani ze staropolska, jakby znaleźli się tam przy-
padkowo.

Patronka — czyli kierowniczka kabaretu — przypatrzyła mi się
uważnie od stóp do głów i powiedziała do Irenki, że jak się skończy
pierwszy program, to ja wystąpię. I dodała: „A bluzka jest piękna!”.
Chciałam przez Irenę zapytać, czy będę miała próbę w innym pomiesz-
czeniu z orkiestrą, lecz nic z tego. Wszyscy byli zajęci przede wszystkim
gośćmi, których przyjmowano istic po królewsku (pardon — po carsku),
występami, serwowaniem szampana i płonących szaszłyków, blinów z ka-
wiozem i jeszcze innymi przysmakami, o których nie miałam pojęcia, co
to jest. A mną się już nie zajmowano. Orkiestra grała non stop, wykonywała
melodie, o które nieraz prosili goście, występy trwały. Nie wyobrażałam
sobie, że będę mogła zaśpiewać bez próby. Wystarczyłaby z pianistą.
Lecz nie nie wskazywało na to, że w ogóle będę ją miała.

W lewej części sali w kącie, wydzielonym paroma ozdobnymi filarami,
był duży, okrągły stół, przy którym siedzieli artyści oczekując na swe
wejścia. Usiadłam i ja w towarzystwie pani Paoli, patronki, która była
pochodzenia greckiego, a zamężna za Francuza. Sasza Rozanow, baryton
rosyjski, osiadł w Paryżu po ucieczce rodziców w 1917 roku, Sula
Markiza, Greczynka, śpiewająca po francusku, Bożena Grabowska, pio-
senkarka z Polski, Helena Majdaniec, znana dobrze w Polsce, Raja —
Cyganka — piękna dziewczyna i doskonała tancerka, śpiewająca z gitarą,

Zamieszkałam jedną wigilię w Samandzi
gdy przyjechałam do mojej matki.
Leselek. Miał wówczas 16 lat. Do dziś

opowiada swoim dzieciom, jak Irene podarowała
mnie, białą, mleczną czekoladę, jako me tamte cesy nowości.

Rosjanka, która opuściła Moskwę dzięki dziennikarzowi norweskiemu, wychodząc za niego za mąż. Wera Grand, starsza pani, Polka, która wyjechała w Warszawy po wojnie. Piękna zielonooka Krystyna Konarska, której lepiej było w Paryżu w długich blond włosach niż jako brunetce w Polsce, Kazański, piosenkarz i gitarzysta rosyjski, Leczeko Oszawkow — malarz i piosenkarz bułgarski, taneczny duet rosyjski, których rodzice też wyemigrowali z Rosji przed rewolucją a nazwaliśmy ich „biali Rosjanie”. Tańczyli rosyjskie tańce, tak modne wówczas kazaczoki. Oczywiście piękna Irena Jarocka. Była też Rosjanka grająca na starej, bardzo dużej harfie. Nie wymieniłam wielu osób, które potem przewinęły się przez kabaret. Do kabaretu przychodzili Rosjanie, czyli stara biała gwardia, a potem ich dzieci. Francuzi przychodzili, by posłuchać rosyjskich pieśni, dobrze zjeść i wypić szampana. Nigdy nie przyszedł do kabaretu żaden pracownik z konsulatu radzieckiego. Chyba że potajemnie, o czym nikt nie wiedział — jak poinformował mnie Sasza.

Stłuchiłam wykonawców, patrzyłam na program i denerwowałam się. Gdy pierwszy program skończył się, byłam przekonana, że będę śpiewać. Nic z tego. Kabaret zapelniał się następnymi gośćmi i druga część programu była kontynuowana. Gdzieś około pierwszej w nocy chciałam zrezygnować i odejść. W gardle suchość, zmęczenie, brak przyzwyczajenia do występów o tak późnej porze, bez próby z orkiestrą. Nie wytrzymałam. Zabrałam swoje rzeczy i chciałam wyjść, gdy Wera Grand podeszła do mnie mówiąc wyniośle:

— „Jak pani chce pracować i zarabiać, to proszę się dostosować do życzeń patronki. Teraz proszę się ubierać na występ. Ja podam nuty pianiście. On zagra pani tak, jak jest w nich napisane”. I wyszła. Minęła druga w nocy. Irenka Jarocka przybiegła do mnie po swoim występie, dodając mi otuchy, poprawiając bluzkę, której biały batyst pięknie odbijał się w świetle i włosy, które zaczynały być w nieładzie. Teraz nadeszła moja kolej. Sasza Rozanow zapowiedział mnie ciepło, że prosto z Polski...

— „Śmiało, nie bój się, ja będę stała obok i pomagała śpiewać” — dopingowała mnie Irena, wypychając lekko na parkiet.

Cała w emocjach oczekiwałam na pierwsze takt fortepianu, które jak gdyby nigdy nie poleciały ku memu zadowoleniu. Potem orkiestra. Nie widziałam sali. Jupiter oślepił mnie. Zaczęłam śpiewać jedną i drugą piosenkę, po czym zeszałam szybko ze sceny kłaniając się. Nie widziałam nic, nic też nie słyszałam, uciekłam do garderoby przekonana, że wszystko źle poszło.

— „Basik, Basik, wracaj na estradę!” — usłyszałam głos Ireny.

Przybiegła do garderoby, wyciągnęła mnie znów za rękę i dopiero wówczas dotarły do mnie nawoływania. „Bis!, bis!, bis!” Weszłam na powrót na parkiet nie wiedząc, co mam robić. Pianista nie miał innych nut. Irenka krzyczała:

— „Basiu, śpiewaj!!”

Wróciłam do garderoby, a Irena ze mną mówiła roześmiana:

Tup, tup, tup na szpileczkach, weszła do garderoby patronka wyraźnie zadowolona z Werą Grand, która była za tłumaczkę.

— „Jeśli pani chce, to może zacząć od jutra pracę w kabarecie. Próba z orkiestrą jutro o 20. Program zaczyna się zawsze o 21 i trwa aż do ostatniego widza, czyli czasem do czwartej rano. Angażuję panią na sześć miesięcy! Czy pani rozumiała?” — tłumaczyła Wera. Oniemiałam z wrażenia. Na sześć miesięcy! Zapytałam, czy się nie przestyszałam, bo przecież nie znałam języka, a i zmęczenie było wielkie.

— „Nie, nie przesłyszałaś się” — potwierdziła potem Irena.

Wracaliśmy same nad ranem do hotelu na nogach. Serdecznie jej dziękowałam za pomoc. Powrót trwał około 20 minut, a ona opowiadała mi o swej pracy, śpiewaniu, o planach na przyszłość.

Śpiewałam w tym kabarecie i w innym przez prawie trzy lata. Jak się mówiło między artystami: „Licznik bił”. Każdej nocy licznik bił. Żadna noc nie moja. Lecz pieniądze moje.

Po tylu latach jeszcze nie mogę sobie wybaczyć Irenko mego pukania do Twoich drzwi w hotelu przy Lamandé o godzinie 11 rano. Środek nocy dla Ciebie, o czym się potem sama przekonałam. A Ty jak gdyby

Tрудно jest wrócić i sobie taką wadię, ale tak powiesz
myślenie o tych wiecach. Obiecywałem mi Treka, że przyjdzie
do mnie do Cannes. "Może z Ali chętem, może z słowika"
może... może. TAKI ŻAL POZOSTAŁA, taki żal...
Ja pòżew, zo. pòżew pòżew elichale; elichale....

Barbara Szymborska - Tessé
Cannes 9.02.2012

nie się nie stało — podałaś mi rękę — dając mi możliwość zarobku.
Dzięki Tobie mogłam żyć spokojnie, nie bojąc się o przyszłość swoją,
syna i matki. Twoja haftowana, góralska bluzka jest wciąż ze mną
w bagażach życiowych. I tutaj w Cannes też ją mam, chociaż nie mogę
jej już założyć. Ona przynosiła mi szczęście w życiu. Przechowuję ją jak
talizman.

Gdy zakończyłam śpiewanie, los mój związał mnie z ziemią francuską.
Z przerwami wprowadzie, lecz szczęśliwie i chyba na zawsze. Tutaj spot-
kałam miłość mądrą, opiekuńczą, brutalnie przerwana przez stan wojenny
i trudności paszportowe. Lecz przysłowie mówi: „Stara miłość nie rdze-
wieje”. Po kilkunastu latach odnaleźliśmy się, by wziąć ślub w pięknym,
ciepłym zakątku, nad samym lazurowym morzem, w Cannes.

Sincères Condoléances

